

dzieci bawiły się i paraszkowały wesoło. Najmłodszy Jaś wskoczył na stół, poślizgnął się i tak nie-szczęśliwie spadł, że odniósł głęboką ranę na tyle głowy tuż nad móżdżkiem. Z otwartej rany cieknie obficie krew. — Chłopiec sąsiadów pobiegł po lekarza i po księdza.

...Ojciec już nie myśli o zdobyciu złota. Cały jest pochłonięty troską o dziecko. Przypomina sobie słowa proboszcza, jakie sły-szał na spowiedzi:

— A gdyby ci Bóg jedno dziecko zabrał?

— Nie, nie oddam ani jednego z swych dzieci, choć miałbym pozostać nie wiem jak biednym! — Lżej mu jakoś na sercu...

— Nie, nawet za furę złota nie oddam ani jednej z mych pociech... Nie oddam!! Za nic na świecie!!

Już słyhać zdala dzwonek głos. Otwierają się drzwi.

Wchodzi kapłan z wijatykiem.. Za sługą Bożym doktor zdąży. Spojrzał na malca i zmarszczył brwi.

Niedobrze jest — pomyślał. Ale przy Boskiej pomocy postaram się uratować chłopca!

Przez pewien czas kapłan pozostawał sam z malcem. Ranny chłopiec otworzył oczy, od był spowiedź. Teraz dziecięce jego usta szepcą nabożne słowa modlitwy. Z rozrzwinięciem i wiarą przyjmuje wijatyk do swego serca, przyjmuje Boga. Kapłan mówi do malca łagodnie, słodko:

— Z poddaniem się woli Bożej znos boleści, bez narzekania, z całą cierpliwością pozostawając w łóżku, dokąd trzeba będzie. Kochasz Chrystusa? Naśladuj Go. On tyle cierpiał, tyle znieść musiał. On ciągle cierpi i dziś, aby nas zbawić ode złego!...

Lecz cóż to? Kapłan przestał mówić. Przez usta słowo przejść mu nie może. Chłopiec przygląda mu się bacznie, pytająco. Ksiądz jest mocno wzruszony. Staruszek-kapłan ma oczy utkwione w podłogę. Chwilkę rozszerzonemi źrenicami czemuś się przygląda. O! dziwo! Na podłodze, tuż obok nogi stołu coś małego, białego leży. Schyla się kapłan, przygląda się uważnie, kłęka i... drżącemi rękami podnosi z ziemi maleńką, białą hostję. — Kapłan przywołuje matkę chłopca. Każe sobie podać wody. Modląc się nabożnie, z oczyma pełnemi łez, zmywa starannie miejsce, gdzie pod osłoną chleba spoczywał Bóg. Ze czcią głęboką umieszcza w bursie hostję świętą.

Na natarczywe, pełne ciekowości pytanie chłopca nie odpowiada kapłan. Jeszcze raz zachęca chorego, by cierpliwie pozostawał w łóżku. Mówi dość dobrotliwie, jak ojciec. Potem powoli opuszcza mały domek nad brzegiem strumyka.

Lekarz dał wskazówki chłopcu, jak ma się zachować, pocieszył, że rana prędko zagoi się napewno i odszedł do innych chorych.

I znowu rodzina Kulebiaki kłęczy u łóża chorego chłopca. Jedy-nie sam ojciec poszedł z proboszczem. Tak sobie ksiądz życzył.. Dopiero na plebanji kapłan wszczął rozmowę z Kulebiaką. Twarz księdza była pogodna, rozradowana. Mówił o miłosierdziu Boskiem, które nawet najzatar-działszym grzesznikom przebacza. Wspomniął i o tem, że i on — Kulebiaka, tego doświadczył na sobie niezawodnie. A potem opowiedział historję znalezienia hostji w mieszkaniu prywatnem. Słuchając tego Kulebiaka wstrząsnął się cały.

— Gdzie to było — zapytał nagle proboszcza.